

## **\*WIGILIA\***

*Z wielkiej kuchni gospodyni  
Śle delicyę za delicyą,  
Sutą ucztę pilnie czyni  
Uważając na tradycją.*

*Teraz wisi ot, na włosku  
Cnej jejmości słuszna sława,  
Więc jest szczupak po żydowsku:  
Prym jegomość temu dawa!*

*Zasię potem lin w śmietanie  
I karp tłusty w sosie szarym —  
Jedz — nie pytaj, mości panie,  
A zapijaj węgrem starym.*

*Jedz — nie pytaj! — a gdyć mało,  
Starodawną znaj wiliję:  
Masz tłuczeńców misę całą  
I zamorskie bakalije!*

Oto wiersz pocziwego Or-Ota. Te zwrotki najwyraźniej i pachną i wabią rozkoszami stołu. Ale oczywiście „starodawna wilija” nie stanowiła nigdy jedynie okazji do wieczornych ceremonii z jadłem i napitkiem w rolach głównych. Zawsze widziano w niej dzień pełen różnorakich, szczególnych znaczeń i zawsze miała ona coś z wielkiego widowiska, które acz kończyło się po północy ostatnimi, nieco może sennymi gloriami pasterki, to jednak zaczynało się już o świcie. O świcie — a raczej jeszcze wcześniej, w owej niezbyt wesolej porze, gdy koguty przypominają sobie dopiero o pianiu — budziły się większe i mniejsze śpiochy. Czekwały ich, to fakt, rozliczne zajęcia wigilijne. Czekwały ciężkie roboty. Ale wierzone również, że kto wtedy zerwie się dzielnie z łoża, ten potem przez cały rok nie będzie przeżywał kłopotów z wstawaniem.

W ogóle od przebiegu wigilii miał wręcz zależeć tok nadchodzącego roku. Która panna tarta wówczas mak, tę czekało wnet zamążpójście. Który myśliwy zdołał co wtedy upolować, ten mógł liczyć w najbliższych miesiącach na szczęście spod znaku świętego Huberta. Który chłop wybrał się przezornie z rana do karczmy i chlapaną okowity, ten nie musiał się martwić, że w przyszłości grozi mu przymusowa abstynencja. Który spryciarz podebrał ukradkiem sąsiadowi siekiere, pług czy wóz, ten się cieszył, że odtąd wszelkie dobro będzie mu lgnęło do rąk, nawet jeśli podebranie jako żart skończyło się miłym okupem. [...] Panowało powszechne przekonanie, że w wigilię los człowieka może zyskać swój jakby nowy wymiar i dlatego Wańkowicz, tak wyczulony na najlżejszy podmuch tradycji, napisał ładnie w jednym z felietonów, choć chyba nie dość ściśle teologicznie, że w dzień ten „gdzieś na Mlecznej Drodze Szafarz Niebieski odwraca klepsydry naszych żywotów”.

Jednakże w wigilię nie tylko trzeba było zabiegać o szybkie zamążpójścia i łatwe fortuny. Nad najpiękniejszymi nawet rojeniami górowała od rana kuchnia, przygotowując specjały tym razem na całkiem już bliską przyszłość. A wreszcie, jak zawsze w tym cudownym dniu, zapadał niecierpliwie wyglądany wieczór i ów

kuchенно-babski rozgardiasz z dodatkami, którego nigdy nie lubili mężczyźni każdego stanu i każdej epoki, zmieniał się w arcydzieta ładu, pogody i wystawności. Stół białł świątecznie i czekał na pierwszą gwiazdę. Dzisiaj gdzieś z boku, na tycim talerzyku, kładziemy kosmyczek siana ściśnięty srebrną tasiemką, lecz dawniej – a jeszcze obecnie tu i ówdzie – stół obwiązywało się potężnymi powróstami, siana dawano pod obrus porządnie, po gospodarsku, a oprócz tego ustawiano w kątach izby co dorodniejsze, bynajmniej nie symboliczne snopy. Czynie to chłopi, utrzymywał się ten obyczaj po dworach i tylko miasta nie mogły nigdy prawdziwie sprostać tym sielskim wymogom. Miasta streściły je w końcu do owego talerzyka, którego my teraz jesteśmy spadkobiercami w prostej linii, zadowolając się nim podobnie jak karpiem, jedyną właściwie rybą, jaka nam pozostała...

Pierwsza gwiazda gromadziła wszystkich przy stole. Kończyła się całodzienna głódówka, łagodzona niekiedy jakimś żalonym śledziem „z wody”, a choćby i tamtym grzesznym, lecz niejako koniecznym napitkiem u arendarza. Zaczynał się obiad-wieczera, inaugurowany okolicznościową modlitwą na głos przez gospodarza lub przez inną znaczną i zwykle leciwą osobę, na przykład wielebnego księdza dobrodzieja. Łamano się opłatkiem i składano sobie życzenia. Przypominano tych, co odeszli na zawsze. Bywało też – a zwłaszcza w legendach – że skądś nadchodził w ostatniej chwili strudzony wędrowiec, że zjawiał się nieśmiało syn marnotrawny, że przykuśtykał o kuli wiarus z dawno skończonej wojny. Radość. Łzy. I już dzwoniło, parowało, chlupało, złociło się i brzązowiato: potrawy! Ile ich było i jakie?

Wigilią rządziła magia pewnych liczb. Tak więc ilość ucztuujących musiała być parzysta, jako że przypadek odmienny groził któremuś z nich rychłą śmiercią. „Dwa razy tylko odstąpiła od przesądu – pisała o swojej babce Maria Estreicherówna – raz siedziato już dwanaście osób przy stole, gdy dowiedziano się, że sąsiad spędza samotnie wieczór. Sprowadzono go więc, mimo że miał być trzynastym, i rzeczywiście umarł w ciągu roku. Drugi raz wieczerało w dziewięć osób, a w kilka miesięcy potem umarł mój dziadek. Te dwa wydarzenia utrwaliły w rodzinie wiarę w feralność nieparzystej liczby i odtąd, by jej uniknąć, sadzano kogoś ze służby przy stole wigilijnym, gdy zaszła potrzeba.” A poczytajmy Chłopów. Reymont podaje, że Boryna starej Jagustynce, która przycłapała doń na wigilię, „z wielką dobrocią zrobił (...) miejsce wedle siebie”. Można się zastanawiać, dlaczego tak postąpił: czy tylko dlatego, że tego dnia godziło się otaczać specjalną troską, a nawet uhonorować żebraków, czy może również dlatego, że dotąd biesiadowała u niego jedynie dziewiątka: on, Jagusia, Dominikowa z dwoma synami, Rocho, Witek, Józka, Pietrek.

Musiała być parzysta liczba osób, a także musiało jedno miejsce pozostawać wolne: najsmutniejsze miejsce przy białym stole. Ciekawe jednak, że wobec wiktuałów kierowano się dla odmiany zasadą nieparzystości. Magnaci fundowali sobie jedenaście potraw. Szlachta – dziewięć. Wieś pilnowała siedmiu, a nieraz sadziła się nawet na więcej, choć wyścig pod strzechami nie był łatwy i często wyrażał się bardziej w chwalbach niż w rzeczywistości. Barszcz z grzybami, kapusta z grochem lub z fasolą, kluski z makiem, cukrem albo miodem, rzepa suszona lub gotowana, polewka z suszonych śliwek, gruszek bądź jabłek, to potrawy, które zazwyczaj towarzyszyły dawnym wigiliom chłopskim. Prawie zawsze musiała być także zupa z nasion konopi, zwana siemieńcem lub siemieniuchą, i zawsze też – podobnie jak na stołach pańskich – starano się o strucle i ryby.

Jeść należało dużo, żeby głód nie doskwierał w nadchodzącym roku. Jeść i – broń Boże! – nie odkładać łyżki dla odpoczynienia, gdyż ten, kto to uczynił, mógł nie doczekać następnej wigilii. Po wieczerzy nie zaszкодziło napić się miodku, ale i gorzałki nie wylewano, choć godziło się raczej powstrzymać ciało od tego diabelskiego trunku. Dzieci wielkopolskie kręciły się niespokojnie, gdy ktoś dobijał się do drzwi. To przychodziły „gwiazdory” albo „stare Józefy”: brodaci przebierańcy z laskami, dzwonkami, torbami, a przede wszystkim – różgami. Dziwni goście przepytawali z pacierza. Nieraz nagrodzili jabłkiem czy cukierkiem, jednakże przycięli też po tyłku różgą, nie bardzo uwzględniając ważną okoliczność, iż niedawno to samo robił święty Mikołaj.

Nie mówiliśmy dotąd o choince i podarkach. Ale bo też choinka pojawiła się u nas niewiele ponad sto lat temu jako Christbaum wymyślone przez Niemców, podarki zaś dawni Polacy zwykle rozdawali dopiero w Nowy Rok. Zanim nastąpiła choinka czy „drzewko”, jak nazywało się ją w Galicji, jej dekoracyjne funkcje pełnił (i pełni do dziś w niektórych okolicach) „sad” lub „podłazniczka”, czyli jodełka zawieszona u sufitu wierzchołkiem w dół. [...] Choinka, drzewko czy podłazniczka musiały się błyszczeć i kolorować od ozdób. Ale zapewne nie poświęcano im aż tyle uwagi co my dzisiaj, gdyż wigilia wymagała wciąż innych ważnych zajęć.

Nie żądano żadnych obietnic od zwierząt. Wilki, wychodząc na dwór, przywoływano głośno „do grochu”, co było zaklinaniem, by się w obejściu czasem nie pojawiały. Konie, zważywszy na ich niegdysiejszą nieobecność przy Żłobku, traktowano jak co dnia, bez dodatkowych honorów. Natomiast było raczone po chrześcijańsku opłatkami i resztkami z wigilijnego stołu, po czym prędko opuszczano obory, choć te o północy miały właśnie wyżywać się w przeróżnych rozhovorach. Bano się. Bano się nie tyle skarg i kompromitujących oświadczeń, ile śmierci, która dopadała wścibskich podłazniczki. Powszechnie opowiadano, jak to jakiś gospodarz wlał kiedyś do żłobu i ukrył się, by posłuchać sekretów, usłyszał zaś złowieszcze „leż gospodarzu w żłobie, a wkrótce będzie po tobie”, które się niebawem spełniło. Niektórzy również uważali, iż mowa Krasul może być słyszana tylko przez tych, co nigdy nie popełnili grzechu. Ba, ale gdzie szukać takich! Ubolewali z tego powodu parobcy przy studniach, wiedząc dobrze, że o północy woda zamienia się tam w najprzedniejsze wino i że wiadrami mogą je czerpać znowu doskonalscy o anielskich duszach, a więc ci, których ze świeczką trudno znaleźć i którzy jeśliby się nawet znaleźli, to z kolei stroniliby od trunków...

Zewsząd było słychać kolędy. Wśród nocnej ciszy rozchodził się głos i budził pasterzy, by czym prędzej wybierali się do Betlejem. To znowu słowami starego Karpińskiego chwalono Pana Niebiosów, który przychodzi na świat tak niezwykle, że wszystko jest jakby wbrew naturze: „ogień krzepnie, blask ciemnieje”. Rozlegały się ufne chóralne prośby, by Boże Dziecię pobłogostawiło „krainę miłą”, wioski i miasta, dom, majątność...

A potem jak w wierszu Czechowicza: „Muzyką sypnęło z wysoka i z dala – zachrząścił jak perły pierwszy ruch – lulajże Jezuniu”. Bzyknęły smyczki o struny, żeby najcieniej i najtkliwiej utrafić w kołysankowe nuty. Bo czy to godzi się inaczej, choćby nawet i ręka, nawykła do kosa i wideł, stawiała opór?

*Śpij, wianeczku, kanareczku,  
po mleczku, po mioduniu,  
dam maczeczku, śpij, oczeczko,  
śpij, kochany Jezuniu...*

Zacichały delikatnie melodie, zacichały głosy, zacichał niemal cały świat, Ale za chwilę już smyczek poruszał się raźniej. Płynęły pastorałkowe opowiadki. [...]

Prawda, niekiedy ktoś przysnął ze zmęczenia, nadmiaru wrażeń, a wreszcie sytości wyzwolonej z postów i często podgrzanej którąś z flaszeczek. Budzono go jednak wkrótce na pasterkę. Góralskie dziopki łąły po śpiochach wodą z potoczka czy rzeki, gdzie to w wigilię lubiły ochlapać sobie nogi, żeby się później chodziło zdrowo, wygodnie, szybko. Ablucje wigilijne słynęły ze swej mocy. Dobrze było nawet paroma kroplami omyć twarz nad wiadrem, byle do tego wiadra wrzucić przedtem porządnego miedziaka. Już wtedy można było być zdrowym jak pieniądz, ale najlepszą gwarancję, że rok minie bez chorób, dawała rześka kąpiel pod gołym niebem.

Pasterkę w wielu małopolskich kościołach ożywiały ćwierkania wróbli, świergoty skowronków, gwizdy kosów, krakania wron. Słyszano się tuż po słowicznych trelach, jak wyje wilk lub pobekuje sarna, a wreszcie odzywały się głosy przeróżnej swojskiej gadziny. To zmyślna kawaleria wioskowa popisывała się umiejętnościami, wychodząc nawet ze swą produkcją na chór.

*Ptaki niby dzwoneczki cieszą się kolędą –  
Chrystus nam się narodził i nowe dni będą.*

*Do stajni betlejemskiej aż od brzegów Wisły  
Z ptakami smukłe sarny dziwować się przyszyły.*

*Wiewiórka zęby szczerzy i w niebo się patrzy,  
Jak dwa gołębie płyną na błękitnej tarczy...*

Czasami brać kawalerska, wyćwiczona w tych koncertach gdzieś na pastwiskach, swawoliła bez widocznego powodu. Nie potępiano zbyt figli. Uczniaki używały sobie, lejąc atrament do kropielnicy i ciesząc się potem z pomazanych twarzy. Wybaczone wszystko. Ta noc powinna być radosna, choć kiedy śnieg się zaniedbał i nie otulał jej białym kożuchem, gospodarze wracali do chatup markotni. Niestety. Zielone Boże Narodzenie, a Wielkanoc biała – to z pola pociecha mała!

Źródło: Józef Szczyпка, Kalendarz polski, wyd. 2, Warszawa, IW PAX 1980, s. 315-321.